



Czas skończyć z unią szantażystów

21 maja 2019 | Ekonomia



źródło: AFP

Obecność w unii walutowej to rażąca porażka niemieckich polityków. Jesteśmy największą gospodarką Europy, a w EBC mamy do powiedzenia tyle samo co Cypr - mówi prof. Markus C. Kerber z Uniwersytetu Technologicznego w Berlinie. Grzegorz Siemionczyk

Lider rządzącej Polską partii twierdzi, że euro służy tylko najsilniejszym gospodarkom jak Niemcy czy Holandia. Wyliczenia niemieckiego think tanku Centrum ds. Polityki Europejskiej (CEP) zdają się to potwierdzać. Niemcy są głównymi beneficjentami unii walutowej?

To nonsens, który bierze się z wąskiego patrzenia na korzyści i koszty związane z euro. Gdy unia walutowa powstawała, Komisja Europejska oceniała, że przyspieszy ona konwergencję gospodarczą krajów UE. Tymczasem różnice w poziomie rozwoju zaczęły rosnąć. Stało się tak, bo dla niektórych - zwłaszcza Niemiec i Holandii - euro jest walutą za tanią, a dla innych - np. Grecji i Włoch - za silną. W tym sensie Niemcy na euro korzystają: słaba waluta ułatwia naszym firmom eksport. Ale ta korzyść jest niebezpieczna, bo zaburza konkurencję. W przeszłości, gdy marka była za słaba, dochodziło do jej rewaluacji. Uderzało to w eksporterów, ale na dłuższą metę wymuszało wzrost ich produktywności i konkurencyjności opartej na trwalszych podstawach. Tę kursową, złudną korzyść trzeba zestawić z kosztami członkostwa w unii walutowej.

Chodzi panu o koszty pomocy dla państw z południa strefy euro? To formalnie tylko pożyczki.

Nie tylko. Po pierwsze, proszę zwrócić uwagę na nierównowagi w systemie Target2 (system rozliczeń międzybankowych). Niemcy mają w nim dodatnie saldo w rozliczeniach m.in. z Grecją i Włochami. To forma kredytowania tych państw przez Niemcy, ale nie mamy żadnej gwarancji, że zobowiązania zostaną kiedykolwiek uregulowane. Po drugie, dochodzi ryzyko

związane z ratowaniem zadłużonych krajów. Zaangażowanie Niemiec w Europejski Fundusz Stabilizacji Finansowej (EFSF) i Europejski Mechanizm Stabilizacyjny (ESM) to łącznie niemal 340 mld euro. To nas naraża na gigantyczne straty w razie bankructwa któregoś z krajów. O tych mechanizmach i związanym z nimi ryzykiem nie było mowy, gdy strefa euro była tworzona. Rodzą one pokusę nadużycia, sprawiają, że łatwiej prowadzić nieodpowiedzialną politykę fiskalną. Kredyty udzielone Grecji będą spłacane od 2032 roku. To de facto oznacza ich umorzenie. Przecież wtedy u władzy nie będzie już żadnych polityków, którzy doprowadzili do problemów tego kraju. Po trzecie, na straty narażony jest EBC, który na ogromną skalę skupował obligacje skarbowe zadłużonych państw. Gdyby Niemcy wiedzieli, że EBC będzie prowadził taką politykę pieniężną, nigdy nie zgodziliby się na rezygnację z marki. Członkostwo w unii walutowej to rażąca polityczna porażka niemieckich polityków. Jesteśmy największą gospodarką Europy, a w EBC mamy do powiedzenia tyle samo, co Luksemburg czy Cypr.

Bezpośrednio po utworzeniu strefy euro Niemcy nie były wcale silną gospodarką. Przeciwnie, często określane były mianem „chorego człowieka Europy”. Zmieniły to dopiero reformy rynku pracy z 2004 r. Czy to nie oznacza, że reżim walutowy ma drugorzędne znaczenie dla sukcesu gospodarczego, a kluczowe są reformy strukturalne?

Tak, produktywność i konkurencyjność państw zależą od odrobienia pracy domowej w zakresie polityki fiskalnej, elastyczności rynku pracy itp. W Niemczech w 2004 r. wprowadzono zasadę, że bezrobotny, który nie przyjmie odpowiadającej jego kwalifikacjom oferty pracy, traci prawo do zasiłku. Od tego czasu nie da się żyć z bycia bezrobotnym. Niemiecka gospodarka nabrała dzięki temu dynamizmu, ale jej eksportowa orientacja to jednak w dużej mierze kwestia atrakcyjnego kursu euro. Dlatego przedsiębiorstwa generalnie popierają członkostwo w strefie euro.

Nie tylko przedsiębiorstwa. Według Eurobarometru Niemcy należą do najbardziej euroentuzjastycznych nacji w unii walutowej: 70 proc. z nich ocenia, że euro jest korzystne dla ich kraju. Dlaczego nie widzą kosztów, o których pan mówi?

Niemcy widzą, że mamy rekordowo niską stopę bezrobocia, szóstą z rzędu nadwyżkę w budżecie. To są bardzo dobre wiadomości, które przystaniają mankamenty strefy euro. Niemieckiemu społeczeństwu z całą pewnością nie podoba się polityka pieniężna EBC, który stał się bankiem włosko-francuskim, w którym Niemcy nie mają nic do powiedzenia. Wiedzą, że skupując obligacje skarbowe państw, których wypłacalność jest wątpliwa, EBC stał się tzw. złym bankiem. Ale musi minąć jeszcze trochę czasu, zanim zrozumieją, jakie to może mieć konsekwencje.

Skoro Niemcy, jak pan przyznaje, skorzystały na zbyt niskim kursie euro, to może pomoc dla państw, dla których euro jest zbyt silne, jest tylko formą rekompensaty? W takim ujęciu bilans kosztów i korzyści z tytułu euro nadal byłby dla Niemiec dodatni.

Mógłby pan zrobić karierę w greckiej polityce (śmiej - red.). Strefa euro nie jest już żadną unią walutową, tylko unią szantażystów. Władze w Berlinie co chwila słyszą, że albo zgodzą się

na kolejne kredyty, na wspólną odpowiedzialność za długi, albo unia upadnie. To podły szantaż. Nie chcę, aby mój kraj był w unii walutowej z krajami sięgającymi po takie argumenty. Nawet jeśli one leżą w Europie, to mentalnie i kulturowo są poza nią. Poza wszystkim, dlaczego mielibyśmy łożyć pieniądze np. na ratowanie włoskich banków, skoro nie mamy żadnego wpływu na to, co się dzieje w tamtejszym sektorze finansowym? Wszystkie jego problemy mają swoje źródło w czasie, gdy szefem włoskiego banku centralnego był Mario Draghi (prezes EBC - red.). Gdy jakiemuś bankowi zagrażało bankructwo, aranżowano jego fuzję z silniejszym. W ten sposób w systemie bankowym kumulowano ryzyko. Dlaczego mielibyśmy być za to odpowiedzialni? Niemieckie społeczeństwo jest dziś mało waleczne, ale w Holandii budowa wspólnego, paneuropejskiego systemu ubezpieczeń depozytów budzi bardzo silny sprzeciw.

Ma pan pomysł na naprawę strefy euro? Bo jej demontaż wydaje się nieprawdopodobny.

Jest nieprawdopodobny, dlatego że nikt nie chce być odpowiedzialny za rozpad strefy euro. Angela Merkel popełniła ogromny błąd, mówiąc, że jeśli unia walutowa upadnie, to upadnie też Unia Europejska. To jest nonsens, bo przed wprowadzeniem wspólnej waluty integracja europejska zacieśniała się w najlepsze, Europa była kwitnącą wspólnotą. Ale nikt nie chce po prostu przyznać, że budowa unii walutowej była szlachetnym eksperymentem, który się nie powiódł. W przypadku technokratów z EBC to zresztą zrozumiałe, bo obrona strefy euro jest tożsama z obroną ich miejsc pracy. W mojej ocenie jednak śmierć euro jest pewna, tylko jej termin jest niepewny. W obecnej sytuacji najrozsądniejszą postawą jest przygotowanie miękkiego upadku. Widzę na to w zasadzie jeden sposób: silne kraje strefy euro powinny z niej wystąpić i stworzyć osobną unię walutową. Obok siebie istniałyby dwie unie walutowe: jedna na północy, druga na południu Europy. Oczywiście, jeśli któryś z krajów z południa chciałby przystąpić do tej nowej unii walutowej, mógłby to zrobić, pod warunkiem że obniżyłby odpowiednio dług publiczny i prowadził odpowiedzialną politykę fiskalną.

Kryteria przystąpienia do nowej unii walutowej dotyczyłyby finansów publicznych? Przecież członkostwo w strefie euro też było w dużej mierze uzależnione od spełnienia kryteriów fiskalnych i jak się okazało, to nie zapewniło wystarczającej jednolitości.

Bo te kryteria są niepełne. Można je spełnić dzięki manipulacjom np. Włosi weszli do strefy euro, bo zapewnili, że będą obniżali dług publicznych, a Komisja Europejska uznała te zapewnienia za wiarygodne. A gdy już ktoś zostanie przyjęty do strefy euro, nie można go wyrzucić. Kraje z południa strefy mogłyby same zdecydować się na wyjście, ale nie chcą tego zrobić. Dlatego muszą to zrobić Niemcy i inne silne kraje. Nagła utrata korzyści ze słabej waluty byłaby dla niemieckich firm szokiem, ale to cena, którą trzeba zapłacić za odzyskanie kontroli nad polityką pieniężną.

Nie wierzy pan w naprawę unii walutowej? Przecież po kryzysie fiskalnym podjęto wiele reform. Powstaje unia bankowa, unia rynków kapitałowych, wzmocniono pakt stabilności i wzrostu, np. wprowadzając do niego możliwość karania krajów nieprzestrzegających kryteriów fiskalnych...

Unia bankowa to najgłupszy pomysł, pod jakim kiedykolwiek podpisali się niemieccy politycy. Zrezygnowaliśmy na rzecz EBC z możliwości nadzorowania własnych banków - na razie największych, ale potencjalnie wszystkich. Zostaliśmy też zmuszeni do składania się na paneuropejski fundusz restrukturyzacyjny, nad którym nie będziemy mieli żadnej kontroli. Nie mamy nawet pewności, czy fundusz ten będzie w stanie pomóc w razie potrzeby niemieckim bankom, bo nie wiemy, czy inne kraje wywiążą się ze swoich zobowiązań. Unia bankowa to nie żadna reforma, tylko nasilenie pokusy nadużycia. Pakt stabilności i wzrostu można zaś dowolnie zmieniać, ale to nic nie da dopóty, dopóki nie będzie on przestrzegany. A obecnie niektóre kraje, np. Francja, mają przyzwolenie, żeby go naruszać. Dlaczego? Bo Francja to Francja.

Nawet sympatycy strefy euro zgadzają się, że rozpoczęte po kryzysie reformy nie będą wystarczające, bo wciąż niedostateczna jest integracja fiskalna. Unia walutowa ma szanse działać, jeśli zostanie uzupełniona o unię fiskalną?

Nie, bo żaden z krajów członkowskich strefy euro nie zgodzi się na większą ingerencję w krajową politykę fiskalną. A najbardziej uparte są kraje, które prowadzą najmniej odpowiedzialną politykę w tym zakresie. Tylko presja rynkowa mogłaby zdyscyplinować rozrzutne kraje, ale EBC tę presję zniwelował skupując obligacje skarbowe. Obecnie w strefie euro nie ma żadnych sankcji rynkowych za nadmierne zadłużanie się.

Co w takich okolicznościach powinna zrobić Polska? Premier Mateusz Morawiecki mówi, że przystąpimy do strefy euro, gdy pod względem poziomu PKB per capita zbliżymy się do Niemiec. To rozsądna strategia?

Dochód per capita z pewnością nie może być jedynym kryterium przyjęcia euro. Ale kryteria z Maastricht też nie są właściwe, za bardzo koncentrują się na kwestiach fiskalnych, a za mało na konkurencyjności. Nie chcę niczego radzić Polsce, bo zakładam, że Polacy sami lepiej wiedzą, co dla nich najlepsze. Uważam jednak, że do strefy euro w jej obecnej formie nie ma po co wchodzić. Unię walutową należy budować wśród państw, które nie tylko są na podobnym poziomie rozwoju i są równie konkurencyjne, ale też mają podobną moralność monetarną i fiskalną. Tego się niestety nie da zapisać w żadnych traktatach.

USA też składają się ze stanów bardzo zróżnicowanych pod względem poziomu rozwoju, struktury gospodarek itp. I mimo to unia walutowa działa tam bez zarzutu.

W USA wszelkie nierównowagi w rozliczeniach między stanami są zabezpieczone i raz na jakiś czas muszą być wyrównywane. To prawda, że stany mocno się od siebie różnią, ale w USA istnieje pełna swoboda przepływu ludności. Gdy dojdzie do katastrofy gospodarczej w Karolinie Północnej, ludzie przeprowadzą się do Kalifornii. W Europie to tak nie działa. Pracownikom portu w Pireusie nie jest łatwo przenieść się do Hamburga. Europa nie jest po prostu optymalnym obszarem walutowym.

Mówi pan wiele o odpowiedzialnej polityce fiskalnej, ale wydaje się, że wśród ekonomistów jest coraz mniej zgody co do tego, co to właściwie oznacza. W głównym nurcie ekonomii coraz więcej zwolenników ma pogląd, że deficyt sektora finansów publicznych może być

akceptowany stale dopóty, dopóki oprocentowanie długu nie przewyższa nominalnego wzrostu PKB...

Banki centralne utrzymują niskie stopy procentowe właśnie po to, żeby obsługa długów była do udźwignięcia. Tylko że tę sytuację powinno się wykorzystać do uzdrowienia finansów publicznych. Tak zrobiliśmy w Niemczech, tak zrobiła Holandia. A amerykańscy ekonomiści tworzą coraz to nowe teorie, które odpowiadają bieżącym celom politycznym. Amerykanom wolno zresztą więcej, niż innym krajom, bo dolar ma status waluty rezerwowej. Żaden inny kraj nie mógłby sobie pozwolić na takie deficyty budżetowe i na rachunkach obrotów bieżących, jakie stale wykazują USA. Dlatego amerykańscy ekonomiści, którzy np. nawołują Niemcy do zwiększenia wydatków publicznych, nie są dla mnie wiarygodni.

CV

Prof. Markus C. Kerber jest prawnikiem, wykładowcą finansów publicznych i ekonomii politycznej na Uniwersytecie Technologicznym w Berlinie. Jest twórcą berlińskiego think-tanku Europolis i inicjatorem wielu skarg do Europejskiego Trybunału Konstytucyjnego oraz Federalnego Trybunału Konstytucyjnego związanych m.in. z traktatem lizbońskim i polityką walki z kryzysem.

Rzeczpospolita

© © Wszystkie prawa zastrzeżone